POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE THREEPENCE (in U.S.A. and Canada 5c.)

Wychodzi co tydzień — Dnia 31-go sierpnia 1946 r — Rok VIII. Nr. 35

SIEDEM LAT TEMU

O świcie dnia 1-go września 1939 roku huk bomb niemieckich, spadających na polskie miasta i wsie, obwieścił światu początek katastrofy, może największej w dziejach ludzkości, katastrofy, która otrzymała nazwę Drugiej Wojny Światowej. Minęło siedem lat, od roku już wojna jest oficjalnie skończona, ale pokoju nie ma.

Europa, a częściowo też Azja i Afryka, są głęboko wstrząśnięte gromami przebytej burzy, a wciąż jeszcze niepewne najbliższej nawet przyszłości. Państwa osi są rozbite i okupowane przez Sprzymierzonych. Europa rozcięta na dwoje żelazną kurtyną i niemal cała pokryta gruzami. Trzy państwa neutralne: Litwa, Łotwa i Estonia zostały po prostu wcielone do Z.S.R.R. i nikt się o nie nie upomniał. Dziewięć innych państw, sprzymierzonych lub nieprzyjacielskich, znajduje się pod okupacją sowiecką.

Ponad dwadzieścia milionów ludzi zginęło w zmaganiach, mających wywalczyć pokój, ale pokoju nie ma, rzucano wzniosłe hasła wolności i sprawiedliwości, ale szereg ludów wciąż jęczy pod okupacją obcego imperializmu. Zarzewia nowych konfliktów widać w wielu miejscach: w Turcji, nie zgadzającej się na żądania rosyjskie, w Persji, Palestynie, Egipcie, Indiach.

Warto się zastanowić nad początkiem konfliktu, który doprowadził już do takich następstw, a nie wiadomo do czego doprowadzi jeszcze w przyszłości.

Nie można jednak obecnie się kusić o dokładne przestudiowanie tego zagadnienia, na to jeszcze za wcześnie. Pomimo to jednak coraz to nowe promienie światła padają na to lub inne zagadnienie, coraz to więcej głosów się odzywa, które, często występując w obronie własnej, podają do publicznej wiadomości szczegóły do niedawna znane tylko niewielkiej liczbie wtajemniczonych. Do nich należy mowa byłego premiera Francji, Daladier, wygłoszona na posiedzeniu Zgromadzenia Ustawodawczego w dniu 18. lipca b.r., świeżo wydana książka generała Gamelin, akta procesów w Riom i Norymberdze oraz szereg innych.

Daladier, mówiąc o przyczynach wybuchu wojny, cytuje opinię Leona Bluma, który uważał, że główną z nich było zawarcie umowy rosyjsko-niemieckiej w dniu 23. sierpnia 1939 r. Trudno w tym wypadku nie zgodzić się ze starym przywódcą francuskich socjalistów. Jeśli Moskwa bezpośrednio nie wywołała światowego konfliktu, to w każdym razie mogła mu zapobiec, czego nie uczyniła, całkiem świadomie dążąc do wywołania burzy, któraby ostatecznie tylko jej mogła dać korzyści.

Na wiosnę 1939 r., po aneksji Austrii i Czechosłowacji, zaborcze zamiary Hitlera były zupełnie jasne dla wszystkich. Mogły być wątpliwości jedynie co do ich granic, zakładając że były one w ogóle ograniczone. Zresztą co do tego „*Mein Kampf*" dawał dość wyraźne wskazówki. Państwa zachodnie wojny nie chciały. Tym bardziej nie pragnęła jej Polska, ani też małe państwa środkowej Europy. Państwa zachodnie dały dostateczny dowód swej pokojowości pozostawiając podczas konferencji monachijskiej Czechosłowację własnemu jej smutnemu losowi. Rosja wówczas, wbrew postanowieniom zawartego z Czechami w r. 1935 paktu o wzajemnej pomocy, również się nie ruszyła. Nie leżało oczywiście w jej interesie wplątanie się samotnie w konflikt z Niemcami. Lepiej było poczekać. Hitler się jednak nie zadowolnił i wkrótce stało się jasne, że następną ofiarą ma być Polska.

Przewidywania państw zachodnich sięgały poza rozprawę polsko-niemiecką. Jak wiemy z ogłoszonego przez generała Gamelin przebiegu konferencji zwołanej przez premiera Daladier w dniu 23. sierpnia, spodziewano się uderzenia na Francję jeszcze przed zimą 1939 r., jeśli Polska nie otrzyma wsparcia i ulegnie zbyt szybko. W razie dania Polsce pomocy przez ogłoszenie mobilizacji na zachodzie, co musi odciągnąć z polskiego frontu pewną ilość dywizyj niemieckich, liczono, że jej opór uniemożliwi Niemcom zaatakowanie Francji przed wiosną następnego roku. Miano nadzieję wówczas stoczyć z powodzeniem bitwę obronną i przejść do decydujących działań zaczepnych w roku 1941 lub 1942. To też już w maju sztaby francuski i angielski przeprowadziły rozmowy ze sztabem polskim.

Wojna państw zachodnich i Polski z Hitlerem była jednak tylko gorszym rozwiązaniem, na które trzeba było pójść w razie niemożności uzyskania lepszego, którym by było całkowite uniknięcie konfliktu, lub przynajmniej, w razie uporu Hitlera, wciągnięcie do akcji potężniejszego od Polski sojusznika. Otóż, w raporcie swoim z dnia 1. czerwca, ambasador Coulondre, donosił o rozmowie Hitlera z wyższymi dowódcami niemieckimi, podczas której pytał o ich opinię co do szans zwycięstwa Niemiec w projektowanej wojnie. Keitel odpowiedział, że Niemcy wojnę wygrają, o ile Rosja w niej nie weźmie udziału,. Brauchitsch nie dał tak kategorycznej odpowiedzi, lecz stwierdził, że zapewne tak. Obydwaj uważali, że szanse zwycięstwa są minimalne, o ile Rosja wystąpi, tym bardziej, że to zapewne spowoduje również wystąpienie Turcji po stronie Sprzymierzonych. Na Wilhelmstrasse uważano, że decyzja Hitlera zależy od postawy Rosji.

W tym czasie toczyły się już pertraktacje z Rosją, która doskonale rozumiejąc, jakie atuty ma w ręku, wysuwała coraz to nowe żądania. 2-go czerwca zażądała udzielenia gwarancji państwom bałtyckim, nawet o ile one sobie tego nie życzą. W. Brytania protestowała, ale, pod naciskiem Francji, dała swą zgodę. Pozwalało to Rosji, w razie wojny, zająć Litwę, Łotwę i Estonię pod pozorem ratowania ich od niemieckiego niebezpieczeństwa.

4-go lipca Rosja wysunęła tezę rozszerzenia gwarancji na wypadek tak zwanej „agresji pośredniej", co pozwalało na wmieszanie się do spraw państw bałtyckich również w razie zmiany rządu w którymś z nich, uważane przez Rosję za zwiększenie zagrożenia. W. Brytania znów protestowała, ale znów uległa namowom premiera Daladier. Los państw bałtyckich został przesądzony.

Zdawało się, że już nic nie stoi na przeszkodzie do zawarcia sojuszu z Rosją, żądaniom jej stało się zadość. W sierpniu jednakże powstała nowa trudność. Rosja zażądała pozwolenia na przemarsz wojsk sowieckich przez polskie terytorium i baz w Polsce, w rejonach Wilna i Lwowa. Polacy nie chcieli się na to zgodzić, twierdząc, że, jeśli wojska sowieckie wejdą do polskich ziem wschodnich, to już nigdy dobrowolnie ich nie opuszczą. Jak wiemy dziś, obawy te były aż nadto uzasadnione.

Premier Daladier chciał jednak koniecznie doprowadzić do zawarcia sojuszu i, 21-go sierpnia, wezwał do siebie ambasadora Łukasiewicza, groził poddaniem rewizji paktu franko-polskiego w razie braku zgody na żądania rosyjskie, a ostatecznie zapowiedział, że, jeżeli w godzinach popołudniowych nie otrzyma od ambasadora oświadczenia, że rząd polski, z którym ambasador miał się tymczasem porozumieć telefonicznie, odrzucił żądania sowieckie, to zawiadomi generała Doumenc, szefa francuskiej misji w Moskwie, iż Francja się na przemarsz wojsk zgodziła. Ambasador Łukasiewicz odmownej odpowiedzi nie zakomunikował i generał Doumenc został tegoż dnia, o godzinie 22, powiadomiony o decyzji premiera.

Nazajutrz zwrócił się do Woroszyłowa, szefa delegacji sowieckiej, ale ten nadal zwlekał, a wkrótce dowiedziano się, że Ribbentrop jedzie do Moskwy. Wieczorem, uprzedzając podpisanie traktatu, Hitler w płomiennej mowie oświadczył, że w niedługim czasie poda rękę sojusznikowi na wspólnej, nowej granicy. 23-go sierpnia, o godzinie 15.30, Ribbentrop przybył na Kreml, a w parę godzin później traktat był podpisany.

Korzyści dla Rosji były wielkie. Już 28-go września podpisano traktat rozbiorowy, oddający jej połowę Polski i 31-go października Mołotow mógł na posiedzeniu Najwyższego Sowietu powiedzieć, że Polska, „ten ohydny twór Wersalu", definitywnie przestała istnieć. W r. 1940 Rosja mogła spokojnie zaanektować państwa bałtyckie.

Nie to stanowiło jednak główny zysk. Rosja przez swoją postawę w 1939 r., jeśli nie wywołała, to przynajmniej dopuściła do konfliktu, któremu mogła przeszkodzić, opóźniła o dwa lata swoją, zapewne nieuniknioną, walkę z Niemcami, do czasu gdy będą one już osłabione wojną w Polsce i na Zachodzie, zapewniła sobie pomoc Sprzymierzonych i, w chwili zakończenia wojny, stanowisko głównego zwycięzcy i największej potęgi na kontynencie eurazjatyckim.

Poza tym uzyskała władzę nad dwunastoma poprzednio niepodległymi państwami i nad połową Niemiec, nie mówiąc już o wzmożeniu swych wpływów na Zachodzie przez partie komunistyczne innych krajów, stale wzmacniane i zręcznie kierowane z Moskwy.

Rzeczywiście trudno nie zgodzić się w tym wypadku z opinią Leona Bluma.

WŁADYSŁAW DZIEWANOWSKI

KWA... KWA... KWA...

Trzy tygodnie Konferencji 21 Narodów Zjednoczonych w Paryżu dobiegało do końca, gdy 16. sierpnia 1946 zebrała się po raz pierwszy Komisja Spraw Rumunii, podobnie jak po raz pierwszy zbierały się tegoż dnia inne komisje, by dopiero wybrać przewodniczących i przystąpić do prac. Lecz zanim zdołano się zabrać do czegokolwiek, wstał przedstawiciel Rosji w tej Komisji, p. Wyszińskij, wszczynając sprawę ustalenia, kto w Komisji będzie miał prawo głosowania i odmawiając tego prawa Francji. Wówczas przedstawiciel Nowej Zelandii w tej Komisji Spraw Rumunii, p. Jordan, stały komisarz nowozelandzki w Londynie, poprosił o głos i rzekł:

— Dość już tego ustawicznego kwa-kwa-kwa... We are tired of this constant quack, quack, quack...

Do obrazowego zwierzyńca wyrażeń i określeń przybyła jeszcze jedna kaczka. Jest wszechświatowa psotna kaczka dziennikarska. Jest nasza pogodna kaczka pstra, dziatki ma, siedzi sobie na kamieniu, trzyma dudki na ramieniu. Jest niepokojąca dzika kaczka skandynawska Ibsena. A teraz czerwona kaczka.

I ona także nie tylko dudki trzyma w podniebieniu, ale i dziatki ma, otoczona na tej Konferencji nieodstępnym wianuszkiem pięciorga kacząt swego rodu i chowu, a nużąca, zdaniem p. Jordana, jednostajność tego kwa-kwa-kwa jest nieodłączną właściwością kaczej gwary, ograniczającej się podobno do powtarzania: chodziła czapla po wysokiej desce, powiedzieć ci jeszcze?

Lecz jak każde stworzenie, kaczka gdy kwacze, żaba gdy rechoce, świerszcz gdy ćwierka, ma w tej jednostajnej ciągłości swój rozum, tak i moskiewska czujka w zgromadzeniu paryskim, gdy zgrzyta hamulcami, wie dobrze czego chce.

Rosja przewleka. A przewleka, bo ma. Kto ma, nie kwapi się do zmian.

Konferencja w Paryżu zaczęła się 29. lipca 1946 i nie powinnaby przeciągnąć się poza 15. września 1946, skoro 23 września rozpoczyna się w Nowym Yorku pierwsze doroczne jesienne Zgromadzenie Narodów Zjednoczonych. Jeśli więc w ciągu siedmiu tygodni, przeznaczonych na Konferencję Paryską, nie będzie pośpiechu lub przynajmniej prawidłowo żwawego tętna, nie skończy ona swej pracy i układów pokojowych jak nie było tak nie będzie. Rosja postarała się o to, by prace Konferencji nie ruszały z miejsca lub posuwały się naprzód co pewien czas ledwie żółwim krokiem.

Samo ustalenie sposobu głosowania zabrało dwanaście dni, do 9. sierpnia 1946, a potem dalszy tydzień przeszedł na przekomarzaniach się do 16. sierpnia 1946, gdy zebrały się dopiero po raz pierwszy Komisje, a do 21 i 22. sierpnia 1946, gdy przynajmniej niektóre z nich przystąpiły do rozważania zamierzonych układów pokojowych, czyli nic nie robiono w ciągu 25-ciu dni z 50-ciu możliwego trwania Konferencji.

Zwolennicy opóźniania mogą zacierać dłonie z zadowoleniem: oni czasu nie zmarnowali!

Zamierzone układy pokojowe, jak z Włochami, tak też z Bułgarią, Rumunią i Węgrami, zawierają postanowienie, że do 90 dni po wejściu w życie układów ustaje okupacja, a mianowicie dla Włoch i dla Bułgarii całkowicie, a dla Rumunii i Węgier z zastrzeżeniem, że Rosja może tam zachować siły potrzebne do zabezpieczenia połączeń armii czerwonej z okupowaną przez nią częścią Austrii. Więc Rosja przede wszystkim opiera się wytrwale, mimo ciągłych nalegań Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych Ameryki, przystąpieniu do załatwienia spraw Austrii, gdyż to daje jej możność przedłużenia okupacji Rumunii i Węgier niby dla zabezpieczenia połączeń. Nadto zaś Rosja w ogóle odwleka zawarcie układów pokojowych, gdyż w trzy miesiące po ich wejściu w życie traci prawo okupacji Bułgarii oraz nieograniczonej okupacji Rumunii i Węgier. Oczywiście te połączenia z okupowaną Austrią zapewnią również okupację Jugosławii, a połączenia z okupowanymi Niemcami zapewnią okupację Polski i Czechosłowacji, czyli także krajów nie-nieprzyjacielskich.

Wszystko to szyte jest bardzo grubym szwem. Cele i zabiegi Rosji w przewlekaniu nie mogły pozostać tajemnicą. Więc wreszcie przeciągłe dwudziestodniowe gadu-gadu rosyjskie wyrwało nowozelandzkiemu słuchaczowi tej nieustannej, uninterrupted jak mówią w BBC, bałakajki dyplomatycznej, gniewne: kwa-kwa-kwa.

I snadnie być może, że obrady paryskie, a przynajmniej ich pierwsze 25 dni, zachowają na zawsze nazwę Konferencji Kwa-Kwa-Kwa.

To bowiem jest najistotniejsze i najważniejsze w przebiegu obrad paryskich, iż wydobyły one na wierzch prawdę prawd obecnego stanu rzeczy w polityce europejskiej na tle polityki światowej, a ta prawda jest taka:

— Rosja uważa obecną granicę okupacji w Europie za swoją stałą granicę władania. Pozbawiła, poza tą granicą, w Europie Środkowo-Wschodniej, niepodległości przedwojennej dziesięć narodów i państw, Finlandię, Estonię, Łotwę, Litwę, Polskę, Czechosłowację, Węgry, Rumunię, Bulgarię i Jugosławię. Ani myśli dopuścić ich powrotu do niepodległości. Dzierży władzę rozstrzygającą we wszystkich tych krajach, częściowo wcielonych do ZSRR a częściowo zarządzanych przez t. zw. własne rządy ustanowione w rzeczywistości przez Rosję, a dzierży ją przeciw woli ludności tych krajów, nienawidzącej i władania bezpośredniego rosyjskiego i narzuconych rządów, po prostu siłą zbrojną okupacji i NKWD. Dlatego okupacja jest dla niej istotą rzeczy i to wcale nie jako stan przejściowy ku niepodległości krajów Europy Środkowo-Wschodniej, ale jako stan przejściowy ku wcieleniu ich wszystkich do ZSRR lub związaniu ich z ZSRR w sposób jednoznaczny z wcieleniem.

Nie tylko naczelnym, lecz w ogóle jednym istotnym, celem polityki rosyjskiej na obecnej Konferencji w Paryżu jest przeto utrzymanie władania Rosji w całej Europie Środkowo-Wschodniej przez nienaruszenie samowolnych wcieleń do ZSRR dotychczasowych i przez przygotowanie wcieleń dalszych niezmiennym i nieograniczonym w czasie trwaniem okupacji.

Te zagarnięte już kraje Europy Środkowo-Wschodniej są dla Rosji dzisiaj już nie przedpolem, ale po prostu wchłanianym obszarem, a przedpole ku zachodowi, nie tylko obronne, lecz i wypadowe dla swych dalszych zamysłów europejskich, buduje sobie Rosja już w Niemczech wschodnich i środkowych, we wschodniej Austrii, oraz nad Adriatykiem w Trieście.

Są to prawdy pewne i zamysły brzemienne w treść dalekosiężną. Zarazem zaś są to zamysły całkowicie już przejrzyste i wywołujące opór powszechny Narodów Zjednoczonych, które nie mogą po prostu cisnąć w śmiecie Karty Atlantyckiej i Karty Narodów Zjednoczonych a wraz z nimi także troski o jutro własne i jutro świata. Stąd stała na Konferencji rozbieżność 15 głosów przeciw 6 grupy rosyjskiej.

Rosja zaś chce albo układów pokojowych dla Europy Środkowo-Wschodniej, które dadzą jej tam wszystko, albo nie chce układów pokojowych w ogóle.

Więc przewleka i dlatego w kwa-kwa-kwa tkwi istota rzeczy.

STANISŁAW STROŃSKI

SZANTAŻ I PERFIDIA

Dnia 20 sierpnia, radio warszawskie nadało pełny tekst noty t.zw. „rządu tymczasowego" do rządu W. Brytanii w sprawie żołnierzy polskich przebywających na obczyźnie. Niedokładne streszczenia w prasie brytyjskiej mogły wywołać błędne wrażenie, że jest to akt przychylny w stosunku do tych żołnierzy. Rzeczywistość jest inna. Jest to dokument, który nie schodzi z już tradycyjnej linii. Przenika go ten sam, co wszystkie poprzednie wystąpienia, duch nienawiści do Polskich Sił Zbrojnych, ta sama zajadłość, pragnąca zniszczyć nawet ślad po nich, wymazać ich pamięć. Są przecież w tym akcie dwa nowe akcenty: akcent otwartej groźby i obłudny akcent rzekomej dobrej woli.

Powołując się na wojskowy formalnie, choć w treści zupełnie niewojenny charakter Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia, ostatnia nota grozi pozbawieniem obywatelstwa wszystkim wstępującym w jego szeregi. I to jest szantaż obliczony na zastraszenie żołnierzy, którzy w bolesnych okolicznościach, z dala od kraju, właśnie rozstają się z bronią, gotują się do życia cywilnego na obczyźnie.

Bok w bok sąsiaduje z tym perfidia, mająca skłonić Brytyjczyków do powolności żądaniom kliki lubelskiej. Deklaruje ona po faryzejsku gotowość opieki nad tymi samymi żołnierzami, którym przed chwilą groziła. Za niewielką cenę: za oddzielenie żołnierzy od ich dowódców, za możność położenia ręki na Korpusie — przez przedstawicieli rządu tymczasowego, przez „polskie organizacje demokratyczne, działające w W. Brytanii" (to jest jaczejki PPR) i przez prasę z kraju (oczywiście gadzinową, bo innej choć kontrolowanej, nie dopuszczą).

Trudno mieć wątpliwości co do tego, że rząd W. Brytanii nie skorzysta z tej wielkodusznej propozycji. Mamy całkowitą pewność, że nikt z nas nie zniósł by ani przez chwilę jakiegokolwiek wkraczania w nasze sprawy ze strony rządu obcych agentów i jego agentur. Żołnierze polscy nie po to zostają na obczyźnie, nie po to decydują się na ciężki los wygnańczy, aby i tu w tym wolnym kraju miała się nimi opiekować „Bezpieka", sposobami aż nadto dobrze znanymi tym, którzy zetknęli się z opieką NKWD.

Ponury szantaż zawarty w nocie z 8-go ub. miesiąca ma także zbyt krótkie ręce. Pozostajemy na obczyźnie dlatego, że nie możemy i nie chcemy wrócić pod „rząd", sprzeczny z wolą narodu, sprzeczny z jego interesami. Jeśli warunki się zmienią — a wierzymy, że się zmienią i nie ustaniemy w walce o to, aby się zmieniły — groźby, nawet groźby wykonane, nie będą miały żadnego znaczenia. Rząd prawdziwie polski nie będzie miał wątpliwości co do tego, że żołnierz wierny imieniu i sprawie swego kraju, jest jego pełnoprawnym obywatelem.

Ostatnie wystąpienie „rządu tymczasowego" dopełnia obrazu trudności, jakie nas czekają w okresie, kiedy przestaniemy tworzyć siły zbrojne i zaczniemy niemniej ważną służbę bez broni. Nikt nie zamierza ukrywać tych trudności. Tylko widząc je jasno, damy prawdziwą odpowiedź — spokojem na szantaż, godną stanowczością na perfidię.

ALEKSANDER JANOWSKI

Przegląd tygodniowy

NAPIĘCIE ROŚNIE

Dzień każdy przynosi zaostrzanie się stosunków między Rosją a światem cywilizowanym.

Wyliczmy tylko najważniejsze wydarzenia ostatnich dni: incydenty amerykańsko-jugosłowiańskie, które doprowadziły opinię amerykańską do białej gorączki w stosunku do morderców jugosłowiańskich; cztery noty amerykańskie bezpośrednio lub pośrednio — via Warszawa lub Białogród — skierowane do Moskwy i po części bardzo ostre; kategoryczne odrzucenie sowieckich żądań w sprawie Dardaneli przez Turcję i mocarstwa zachodnie; zaostrzenie sytuacji na Bałkanach, gdzie wasale sowieccy wzmagają kampanię przeciw jedynej wolnej jeszcze Grecji; demonstracyjne wysłanie floty amerykańskiej na wody śródziemnomorskie; nagłe ujawnienie przez prasę brytyjską rozmiarów nielegalnej, sprzecznej z Poczdamem produkcji wojennej w strefie sowieckiej w Niemczech; dalsze postępy sowietyzacji tej strefy; pogłoski o sojuszu między ZSRR, komunistami chińskimi i Mongolią; usuwanie amerykańskich attaché morskich z Rosji, jako niewygodnych świadków tego co się tam dzieje; pogłębianie się rozłamu na konferencji paryskiej; ostateczne usunięcie Litwinowa, który reprezentował w polityce sowieckiej kierunek ugody z Zachodem. Można by tych przykładów pogłębiającego się konfliktu przytoczyć jeszcze więcej.

Ale było by z pewnością rzeczą fałszywą wyciągać stąd wniosek, że świat nieuchronnie kroczy ku wojnie. Prawdą jest, że obie strony przygotowują się do wojny; tylko w ten sposób wytłumaczyć można różne rzeczy, które dzieją się po obu stronach „żelaznej kurtyny”. Tempo wyścigu zbrojeń z pewnością się wzmaga, a opinia publiczna jest coraz bardziej przekonana, że prędzej czy później wojny nie da się uniknąć.

Zarazem jednak nie ulega wątpliwości, że żadna ze stron wojny obecnie nie chce. Ameryka pokazuje siłę i zbrojną pięść w głębokim przekonaniu, że zastraszy w ten sposób Rosję. Rosja ze swej strony wszelkimi sposobami usiłuje wybadać, jak daleko może się posunąć bez wywołania konfliktu zbrojnego. Napotykając na opór — cofnie się.

ROSJA I DARDANELE — DWIE MOŻLIWOŚCI

Centralnym punktem tej próby sił a zarazem wojny nerwów jest Turcja i Cieśniny. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa najbliższe miesiące stać będą pod znakiem walki o tę kluczową pozycję, aczkolwiek nie można wyłączyć, że sprawa ta raz jeszcze na pewien czas ucichnie.

Wysunięcie tej sprawy przez Rosję w chwili obecnej może tłumaczyć się w dwojaki sposób: albo Rosja istotnie sądzi, że jest w stanie w tej dziedzinie coś osiągnąć i posunąć się naprzód na drodze urzeczywistnienia swego tradycyjnego postulatu zawładnięcia Dardanelami; albo też chodzi o posunięcie czysto taktyczne, zmierzające do osiągnięcia innych korzyści i użycie Cieśnin jako przedmiotu przetargu.

W tym drugim wypadku mogłoby chodzić o to, by za cenę „zrezygnowania” z żądań w sprawie Cieśnin uzyskać zrzeczenie się St. Zjednoczonych i W. Brytanii postulatów wolnego handlu na Bałkanach. Rosjanie zaproponowaliby transakcję następującą: my nie będziemy próbowali opanować Turcji, a wy wzamian za to nie będziecie się wtrącali do spraw naszej strefy wpływów.

Za tego rodzaju wyjaśnieniem przemawiałby fakt, że Moskwa nie może logicznie liczyć na sukces w sprawie Cieśnin. Tylko, że Rosja nie zawsze rozumuje logicznie i trzeba się liczyć z tym, że nie wierzy ona w nieustępliwość Ameryki w tej sprawie.

Ostatecznie St. Zjednoczone nie są bezpośrednio zainteresowane w tej części świata i jeszcze niedawno nie były skłonne tam się angażować. Dopiero obecnie, bodajże pod wpływem marynarki wojennej, która ma na politykę amerykańską pokaźny wpływ, Waszyngton uznał, że opanowanie Turcji przez Rosję zbytnio zwichnęłoby chwiejną „równowagę” sił w świecie. Rosjanie jednak mogą sądzić, że przy wytrwałej akcji uda się ten opór amerykański zmiękczyć.

CELE JUGOSŁOWIAŃSKICH PROWOKACJI

Tu zapewne szukać należy wytłumaczenia faktu, dlaczego Tito, niewątpliwie z polecenia Moskwy, sprowokował Amerykę zestrzeleniem samolotów amerykańskich. Trudno to uważać za przypadek, czy za wyraz tylko zapalczywości i nienawiści reżymu komunistycznego Jugosławii wobec wolnego świata. Akcja była z pewnością celowa i zmierzała do wypróbowania reakcji Ameryki, do podważenia prestiżu amerykańskich sił zbrojnych i do stworzenia administracji amerykańskiej trudności wewnętrznych w okresie zbliżających się wyborów. Miano dostarczyć amerykańskiej „piątej kolumnie” argumentów na rzecz tezy, że trzeba wojska amerykańskie wycofać z Europy.

Amerykanie przejrzeli tę grę i postanowili zareagować ostro. Można jednak mieć wątpliwości, czy wybrali najlepszą po temu drogę. „Ultimatum” amerykańskie nie musiało wywołać zbytniego przerażenia w Białogrodzie, ani też w Moskwie. Zawarte w nim żądania były wyjątkowo umiarkowane i mogły być bez utraty prestiżu przyjęte przez rząd jugosłowiański. Co więcej, groźba odwołania się do Rady Bezpieczeństwa, jeżeli Jugosławia nie spełni żądań, brzmiała nieco groteskowo; ta bardzo niepoważna instytucja, której prestiżu nie powiększy z pewnością fakt, że chwilowo, na okres miesiąca, jej przewodniczącym jest napawająca odrazą osóbka, a mianowicie „ambasador” Lange, nie nadaje się do tego, by kogokolwiek nią straszyć. Ostatecznie Rosja ma veto i może wszelką akcję przeciw któremukolwiek ze swych pupilów udaremnić.

Zresztą Ameryka uznała, że jej żądania zostały spełnione i choć zamierza wysunąć dalsze żądania, to jednak chwilowo nie zwróci się do Rady Bezpieczeństwa. Za to Sowiety, które za wszelką cenę chcą utrzymać w swych rękach inicjatywę dyplomatyczną, od razu odpowiedziały wniesieniem niepoważnej skargi na Grecję.

ZACHÓD WCIĄŻ W DEFENSYWIE

Niestety pomimo nowego, bardziej mocnego kursu swej polityki St. Zjednoczone bynajmniej nie przechodzą do zdecydowanej ofensywy. Są one nadal w defensywie.

Opinia amerykańska nie może pojąć, że Jugosławia, która tyle Aliantom zawdzięcza, teraz odpłaca im taką nienawiścią i wrogością. Nie chce ona zrozumieć, że naród jugosławiański w swej znacznej większości nie ma z tą komunistyczną szajką nic wspólnego. Rząd Tity został narzucony Jugosławii przez wielkie mocarstwa. St. Zjednoczone i W. Brytania pozwoliły wymordować swoich przyjaciół z gen. Michajłowiczem na czele. Nie mogą się dziwić, że teraz Jugosławia wykonuje rozkazy Kremla!

Nieszczęsna taktyka defensywna znajduje najdobitniejszy wyraz w odniesieniu do Polski. W ubiegłym tygodniu St. Zjednoczone i W. Brytania wysłały niemal jednobrzmiące noty w sprawie wyborów w Polsce, ale interwencja ta nie może być uważana za dostateczną, ani mającą szanse skuteczności.

Zawarte w tych notach cztery warunki, nawet gdyby były spełnione, nie zapewniłyby naprawdę wolnych wyborów. Naczelny z tych warunków dotyczy swobody działania partii politycznych, ale nie tylko opiera się bezsensownej formułce jałtańskiej, która mówi o swobodzie dla partii „demokratycznych i antyhitlerowskich”, lecz jeszcze przyjmuje komunistyczną interpretację tej formułki. W. Brytania i St. Zjednoczone godzą się na to, by zgraja obcych agentów decydowała, jaka partia jest „demokratyczna”, uznają same za „demokratyczną” partię komunistyczną, która wyznaje ideologię dyktatury totalistycznej, natomiast pozwalają na to, by nie została uznana za taką prawdziwa partia socjalistyczna (jak wiadomo odmówiono jej zalegalizowania), Stronnictwo Narodowe i szereg innych ugrupowań. Zakrawa to na szyderstwo.

Wysunięte przez mocarstwa Zachodu żądania nie zawierają ani postulatu wycofania wojsk okupacyjnych, ani położenia kresu terrorowi „Bezpieki”, ani innych elementarnych warunków przywrócenia Polsce wolności. Nie biorą one pod uwagę faktu, że — jak dowiodły wypadki na Węgrzech — nawet przeprowadzenie wolnych wyborów wcale nie gwarantuje wolności.

Zresztą reakcja reżymu warszawskiego nie pozostawia żadnej wątpliwości co do tego, że nawet te minimalne żądania nie będą przyjęte. Komuniści nie mają najmniejszego zamiaru uszanować zobowiązań, które przyjęli i które były warunkiem uznania ich rządu. Powstaje pytanie, jak zareagują państwa Zachodu na to nowe wyzwanie. Jeżeli reakcja będzie znowu niedostateczna, jeżeli stwierdziwszy, że „zdaje sobie sprawę z odpowiedzialności, jaką wziął na siebie na skutek decyzji konferencji krymskiej i poczdamskiej” rząd amerykański, a tak samo rząd brytyjski nie wyciągną stąd należytych wniosków, to nie będą się mogły dziwić, że Rosja i jej satelici ryzykować będą nowe prowokacje i znajdą w tym zachętę do dalszego prowadzenia polityki agresywnej i popełniania wszelkich zbrodni.

Londyn, 25 sierpnia 1946

ALEKSANDER BORAY

W oczach obcych

Stoimy wobec nowej fazy kampanii przeciw żołnierzowi polskiemu, prowadzonej systematycznie przez komunistów polskich i zagranicznych, oraz ich przyjaciół. Głównym epizodem tej wznowionej kampanii jest nota rządu warszawskiego, wysuwająca szereg groteskowych żądań w sprawie Korpusu Przysposobienia. Towarzyszą jej wystąpienia prasowe pewnej części prasy angielskiej...

Można oczywiście pominąć szczekanie komunistycznego „*Daily Worker*'a”, natomiast z ubolewaniem stwierdzić trzeba, że również „*News Chronicle*” pozwoliła notorycznemu wrogowi Polski i entuzjaście Sowietów, p. Cummingsowi na nowy atak na żołnierzy polskich. Punktem wyjścia jego artykułu była ankieta przeprowadzona przez t.zw. Brytyjski Instytut Badania Opinii Publicznej — odpowiednik słynnego amerykańskiego Instytutu Gallupa, ale cieszący się znacznie mniejszym autorytetem, niż amerykański pierwowzór. Tylko jeden dziennik brytyjski ogłasza wyniki ankiet tego Instytutu, właśnie „*News Chronicle*”, przy czym jest rzeczą godną uwagi, że opinie, które w ankiecie zdobywają większość niemal z reguły pokrywają się z opinią tego, ongiś liberalnego, ale dziś niewiele mającego z liberalizmem wspólnego pisma.

Nie znaczy to bynajmniej, byśmy chcieli poddawać w wątpliwość wyniki ankiety na temat stosunku społeczeństwa brytyjskiego do wojska polskiego. To nie osóbkowe referendum, by wątpić w ścisłość ogłoszonych danych. Wątpliwości nasuwa jedynie użytek, jaki zrobiło z nich pismo i w szczególności p. Cummings.

Pytanie ankiety brzmiało:

„Czy zgadza się pan, czy też nie zgadza z decyzją rządu, aby pozwolić na pozostanie w W. Brytanii wojskom polskim, które nie chcą wracać do Kraju?”

Odpowiedzi „nie zgadzam się” było 56 procent, „zgadzam się” — 30 procent, podczas gdy 14 procent nie wypowiedziało żadnej opinii. Rozbiór odpowiedzi według grup społecznych miał wykazać, że proporcja niechętnych pozostaniu Polaków w W. Brytanii jest większa wśród sfer uboższych, niż wśród ludzi zamożniejszych, że nie ma jednak żadnej różnicy, jeśli idzie o przynależność partyjną. Dalej okazuje się, że najbardziej niechętna jest Szkocja, gdzie aż trzy czwarte odpowiedziały „nie zgadzam się”, podczas gdy w Walii i w Anglii opinie podzieliły się na równi, a w Walii nawet liczba odpowiadających „zgadzam się” przeważyła. Wreszcie b. żołnierze brytyjscy zajmują wobec Polaków bardziej niechętne stanowisko (61% nie zgadza się), aniżeli cywile (51% nie zgadza się).

Ten ostatni fakt musi napawać nas goryczą ze względu na braterstwo broni, łączące nas z żołnierzem brytyjskim, ale nie ma powodu brać sobie tych wyników zbyt do serca. Gra tu szereg czynników, zupełnie niezależnych od nas, a więc wrodzona niechęć do cudzoziemców, obawa przed bezrobociem i konkurencją, specjalnie żywa wśród b. żołnierzy, i td. W Szkocji dołącza się do tego fakt, że długi pobyt żołnierzy polskich musiał obok nawiązania wielu przyjaźni spowodować wiele tarć. Wreszcie systematyczne wprowadzanie w błąd przez dużą część prasy także musiało pozostawić ślad. Szkoda, że ankieta nie oblicza wyników również wedle stale czytanych pism!

Z pewnością wynik byłby inny, gdyby pytanie brzmiało inaczej. W tego rodzaju ankietach bardzo wiele zależy od sformułowania pytania. Gdyby np. zadano pytanie, czy uczestnicy ankiety wypowiadają się za przymusowym odesłaniem Polaków do rządzonej przez komunistów Polski, albo czy sądzą, że W. Brytania ma wobec Polaków dług jeszcze nieuiszczony, to ci sami ludzie mogliby zająć całkiem inne stanowisko.

Ale redakcji „*News Chronicle*” nadającej rozgłos wynikom ankiety o to nie chodziło. Zaraz nazajutrz p. Cummings nawoływał, by „baczyć na Polaków Andersa”, przy czym pisał:

„Co należy z nimi zrobić? Nie wyobrażam sobie niczego bardziej niezadawalającego, aniżeli zgoda na ich postulaty osiedlenia się zbiorowo na pewnych przyznanych im obszarach, gdzie mogliby mieć własne szkoły, kościoły, kina oraz pisma, podtrzymywać własną ideologię i narodowość i przygotowywać się na dzień, gdy będą mogli powrócić do Polski, jako agresywni faszyści lub półfaszyści.

„Wręcz przeciwnie, powinni oni być rozproszeni po różnych częściach kraju, szybko pozbawieni mundurów i powinni dostać odpowiednie zajęcie cywilne wśród ludności brytyjskiej, od której będą mogli się nauczyć zasad życia demokratycznego.

„Większość tych młodych ludzi z armii gen. Andersa zarażona została umysłowością faszystowską...”

Dla p. Cummingsa, który całkowicie zaraził się umysłowością komunistyczną każdy, kto odrzuca tyranię komunistyczną, to „faszysta”. Trudno naprawdę zrozumieć, jak poważne pismo może drukować takie brednie. Trzeba zresztą stwierdzić, że czytelnicy pisma zareagowali listami protestacyjnymi, z których dwa pismo lojalnie wydrukowało.

LECTOR

Polska pod okupacją: o powrót Polaków z ZSRR

W kraju panuje coraz większe zaniepokojenie losem bliskich, którzy zostali wywiezieni do ZSRR. Zaniepokojenie to jest tak powszechne, że nawet reżimowe Stronnictwo Demokratyczne zmuszone zostało przez doły partyjne do uchwalenia następującej rezolucji, podczas lipcowego kongresu:

„Kongres wzywa Rząd — głosi rezolucja — *by spowodował szybką repatriację wszystkich obywateli polskich, którzy wskutek działań wojennych znaleźli się na terenach Związku Radzieckiego...”*

PONURA TAJEMNICA

Sprawa repatriacji obywateli polskich z ZSRR (nie mamy tu na myśli polskich ziem wschodnich, odstąpionych Rosji), otoczona jest tajemnicą; pełno wokoło niej niedopowiedzeń, sprzecznych danych i wypowiedzi.

Jak wiadomo, w latach 1939-1941 z ziem Rzeczypospolitej wywieziono przymusowo do ZSRR ponad 1,5 miliona obywateli polskich. Potem w latach 1944-45, gdy Czerwona Armia znalazła się w Polsce, żołnierze Armii Krajowej i działacze polskiego państwa podziemnego byli masowo aresztowani przez NKWD i zsyłani do Związku Sowieckiego. Ponadto do ZSRR wywiezionych zostało wielu Polaków, obywateli niemieckich, którzy mieszkali przed wojną w Prusach Wschodnich.

Spośrod pierwszej grupy deportowanych zwolnionych zostało około 150 tysięcy (w tym głównie żołnierze gen. Andersa i ich rodziny); 400 tysięcy zmarło do chwili ewakuacji Polskich Sił Zbrojnych z ZSRR (sierpień 1942), kilkanaście tysięcy znalazło się w szeregach wojska Berlinga.

Tak więc w ZSRR pozostał około milion obywateli polskich spośród pierwszych deportowanych; liczba deportowanych w latach późniejszych, 1944-45, nie jest znana. Tymczasem pod koniec roku ubiegłego delegaci Związku Patriotów Polskich w Moskwie mówią tylko o 400 tysiącach Polaków w ZSRR, a ostatnio delegatka tego związku bawiąc w Polsce stwierdziła, że do dnia 1. czerwca 1946 wyjechało z ZSRR do Polski 190 tysięcy, a pozostało jeszcze tylko 60 tysięcy. Z tych cyfr wynikałoby, że tylko 250 tysięcy Polaków jest, względnie było do niedawna w ZSRR. Co stało się z resztą? Czyżby wyginęła już w sowieckich łagrach?

Tragedia tych Polaków musi być wyjaśniona i na rządzie warszawskim ciążyć będzie odpowiedzialność za los tych tysięcznych rzeszy polskich. Rząd Bieruta i Osóbki chwali się dobrymi stosunkami z rządem radzieckim. Niech nie będą to tylko słowa. Niech uratowanie tych Polaków rozrzuconych po ziemiach radzieckich stanie się widomym znakiem tej „przyjaźni”.

NAIWNE HISTORIE

Tymczasem prasa reżimowa opowiada społeczeństwu naiwne historyjki, jak to dobrze było polskiej „emigracji” w ZSRR. Ulubionym tematem są dzieje dzieci polskich na ziemi radzieckiej. Ostatnio organ PPR w Katowicach, „Trybuna Robotnicza”, zamieścił reportaż o Domu Dziecka w Sławęcinach, gdzie przebywa 53 dzieci przybyłych z ZSRR. Oto urywki z ich dziejów, według reportera „Trybuny Robotniczej”:

„Wewnątrz szkoły przygotowania do powrotu do Polski, bo coraz lepsze wiadomości z frontu. Utworzenie KRN, PKWN, koniec wojny, zwycięstwo.

„Na swoim zebraniu dzieci mówią: Musimy jak najwięcej wiedzieć o tym, co się dzieje na szerokim świecie, co się dzieje w Polsce.

„16 stycznia 1946 r. wyjeżdżają na Ukrainę; już są bliżej Polski, do której tak gorąco biją im serduszka.

„Jedzie z dziećmi portret Kościuszki na koniu, jedzie Orzeł Biały i jadą jakże miłe wspomnienia.

„A czy pamiętacie — mówią do siebie dzieci — jak we wszystkie święta zapraszały nas do siebie, do domów kobiety radzieckie!

„Ach, jakie one dobre, jak one nas kochały!

„I łezki kręcą się w oczach dzieci...”

Takimi naiwnymi opowiadaniami pragnie reżim władający siłą w Polsce zakryć obraz tragicznych przeżyć Polaków w ZSRR. Świeżo wydana w Anglii książka pod tytułem „*The Dark Side of the Moon*” daje nam udokumentowany obraz tych przeżyć, także dzieci, odrywanych gwałtem od rodziców, gnanych w obce strony, uczonych pogardy do wszystkiego co polskie, tresowanych na obywateli sowieckich — dzieci, których jedynym „przewinieniem” było, że były dziećmi polskimi, wiernymi ojczyźnie. Jeśli prasa reżimowa nie ma nic na usprawiedliwienie gehenny tych dzieci, bo mieć nie może — to niech lepiej milczy, a takimi opisami, jak wyżej przytoczony, niech nie szarpie ran tych, co dzieci swe utracili na „gościnnej” ziemi radzieckiej, bo rany te są zbyt świeże.

OFENSYWA PPR

Po generalnej próbie, jaką dla reżimu było referendum ludowe, komuniści przystąpili teraz, wobec zapowiedzianych wyborów, do nowej ofensywy. Oto, co pisze o tym „Głos Ludu”, organ warszawski PPR:

„Po krótkim okresie przerwy związanym z przegrupowaniem organizacyjnym i podsumowaniem wyników głosowania ludowego, organizacja warszawska przystępuje do dalszej kampanii politycznej przeciwko wrogom demokracji, przeciwko tym, którzy wczoraj przyczynili się do spalenia naszej Warszawy, a dziś wzywają do walki z obozem jej budowniczych.

„W czasie głosowania ludowego rozwinięta została nowa forma pracy politycznej wśród mieszkańców stolicy — agitacja domowa. Dała ona wielkie rezultaty. Dlatego, nie zaniedbując pracy politycznej na fabrykach i w przedsiębiorstwach, organizujemy przy wszystkich KD spośród najlepszych agitatorów stałe koła agitatorów domowych, którzy dalej będą odwiedzać przydzielone im odcinki, szerzyć słowo naszej partii wśród mas, tworzyć terenowe koła PPR.

„W zbliżającej się akcji mieszkaniowej grupy agitatorów domowych, podobnie jak w czasie głosowania ludowego odegrają poważną rolę organizacyjną w wyławianiu pasożytniczych elementów i mobilizacji robotników i pracowników...”

Komuniści ze zdwojoną siłą wystąpili do walki i „wyławiania pasożytniczych elementów”, równocześnie terrorem i bezprawiem uniemożliwiając jakąkolwiek działalność niekomunistycznym organizacjom politycznym. Polskie Stronnictwo Ludowe jest systematycznie rozwiązywane w coraz to innych okręgach. „Wtyczki” komunistyczne z Widy-Wirskim na czele rozłożyły Stronnictwo Pracy. Społeczeństwo polskie jest omotane propagandą komunistyczną, wdzierającą się wszędzie i nieprzebierającą w środkach.

WSZECHWŁADZA „BEZPIEKI”

Życie w dzisiejszej Polsce stoi pod znakiem wszechwładzy „Bezpieki”, która jest panem życia i śmierci obywateli. Mimo to niektórzy dygnitarze reżimu pragnęliby ten stan ustawicznego terroru jeszcze poszerzyć. Ostatnio „wiceminister sprawiedliwości” Leon Chajn wystąpił w tym względzie z projektami dalszych inowacji:

„Podobnie jak w sądownictwie powszechnym — czytamy w „Kurierze Codziennym” — *dochodzenie, sądzenie i wykonywanie kary w stosunku do przestępców kryminalnych stanowi właściwość organów powszechnego wymiaru sprawiedliwości, podległych Ministerstwu Sprawiedliwości, tak też dochodzenie, sądzenie i wykonywanie kar w stosunku do przestępców politycznych winno należeć do specjalnych organów dochodźczych (?), prokuratur i sądów związanych administracyjnie z Ministerstwem Bezpieczeństwa Publicznego*”.

W ten sposób, według wzorów sowieckich, działalność polityczna niemiła reżimowi, miałaby być ścigana i „karana” przez tę samą władzę administracyjno-policyjną, kierującą się nie przesłankami sprawiedliwości jednej dla wszystkich obywateli, ale wolą i samowolą Radkiewicza, realizującego metody i cele NKWD w Polsce.

TADEUSZ NALER

POSZUKIWANIA

Maria MIERZWA, 73 Rolls Ave., St. Catherines, Ont., Canada, poszukuje brata Stanisława NOCÓNIA, lat 35, oficera Wojsk Polskich, ur. w r. 1911 w Mikołajowie, pow. Pinczów, syna Andrzeja. Ranny w 1939 r. dostał się do niewoli rosyjskiej, był w szpitalu w Kozielsku w 1942 r. Żona jego Stefania poszukiwała go przez Czerwony Krzyż i zawiadomiono ją, że zamordowano go w Katyniu. Teraz przyszła wiadomość, że podobno żyje, jest w Niemczech i dowozi żywność z Anglii.

Szymona CURYŁY i Edwarda DOROSZA, wywiezionych do ZSRR w 1941 r. oraz Mieczysława MIŚNIAKA, Kamila DOROSZA, przebywających na terenie Niemiec, poszukuje i prosi o jakąkolwiek wiadomość Kazimierz DOROSZ, Weelsby Camp, Grimsby, Lincs. Pisma obozowe proszone są o przedruk.

O wiadomości o Adamie BUKOWIŃSKIM z Warszawy, ur. w 1897 r. (wrzesień 1944 obozy Oświęcim, Brzezinka, wywieziony zapewne do Niemiec) prosi Jerzy BUKOWIŃSKI, c/o Polish Red Cross, 34, Belgrave Square, London, S.W.1. Pisma obozowe proszone są o przedruk.

Józef GLUZA, Polish A.P.O. 733/2K poszukuje brata Antoniego GLUZA, lat 25, który był internowany w Szwarcarii, Kanton Schwyz.

Człowiek charakteru — *Wspomnienie o Stefanie Starzyńskim*

W pamiętnym wrześniu dostanie się do wojska, w roli ochotnika, nie było rzeczą łatwą. Trzeba było zmobilizować całą siłę wymowy i argumentów dla przełamania trudności nawet we własnym pułku, z którym nas, rezerwistów, łączyły stale bliskie stosunki. Wreszcie po kilku godzinach uporczywych zabiegów znalazłem się popołudniu 4 września w batalionie marszowym 21 Warszawskiego Pułku Piechoty. Batalion w nocy miał ruszyć do pułku, walczącego gdzieś w rejonie Mławy i Ciechanowa.

Przed północą — nagła zmiana rozkazów. Zostajemy w Warszawie. O 3-ej rano wychodzimy z Cydateli i rozczłonkowani na plutony maszerujemy na Mokotów. Żołnierze, sami rezerwiści, zmęczeni służbą dnia poprzedniego, od kilku dni lub kilkunastu godzin zaledwie w mundurze — wloką się ospale przez puste jeszcze ulice miasta.

Na szczęście ukazuje się „14-stka". Konduktorzy chętnie zatrzymują wozy i tramwajem dojeżdżamy na daleki Mokotów — a jak później się okazało — na nasze, do końca walk niezdobyte pozycje. Dostajemy konkretne rozkazy. Z moim plutonem (niepełny stan, ani jednego r.k.m.) mam zorganizować obronę przeciwczołgową Alei Niepodległości od Rakowieckiej do Ursynowskiej. Linia co najmniej 1½ kilometrowa, poprzecinana licznymi ulicami; na przedpolu ogródki i pojedyńcze domki utrudniają znakomicie widoczność. I do tego czterdziestu trzech czy czterech ludzi!

Ale nie pora na rozważania, trzeba działać. Zaczynamy „organizować obronę". Obserwatorzy idą na stanowiska, reszta żołnierzy przy chętnej pomocy cywilów bierze się do pracy. Wyznaczam swoje m.p. w ogródku jakiegoś domku na rogu Szustra i Al. Niepodległości. Nie interesuje mnie najzupełniej czyj to domek.

W zacienionym kącie ogródka — ławeczka. W upalny dzień po nieprzespanej nocy, po którymś tam z rzędu obejściu całego odcinka ma ona dla mnie szczególny powab. Na siedząco zapadam w półdrzemkę, nastawiony na wyczucie każdego kroku i każdego głosu. Mogą mnie szukać gońcy. Mijają długie chwile niczym niezamąconej ciszy. Słońce, zieleń i cisza. Czyż wojna nie jest snem? Nie, nie. Przecież jestem w mundurze, przecież parę godzin temu był ostatni nalot.

Wtem zgrzytnęła furtka. Ktoś wchodzi. Mundur majora. Koniec półsennych majaczeń. Służba. Podrywam się z ławki do meldunku. — „Panie majorze" — skanduję twardo i bezosobowo. Lecz dalsze słowa nabierają tonów bardziej miękkich. Towarzyszy im bowiem uśmiech Majora. Poznajemy się wzajemnie w mundurach. To przecież Stefan Starzyński.

Okazuje się, że to w jego domku wyznaczyłem sobie m.p. Przyjmuje to z radością i gościnnie oddaje go do mojej dyspozycji. Przechodzimy na tematy aktualne. Dowiaduję się, że ewakuacja władz państwowych z Warszawy postanowiona. Major mówi z oburzeniem o swoistych formach indywidualnej „ewakuacji" samochodowej rozmaitych dygnitarzy cywilnych i wojskowych z rodzinami. Pytam prezydenta o jego osobistą decyzję.

— „Ja zostaję. To przecież mój obowiązek, jako prezydenta miasta. Nie wyjeżdżam z Naczelnym Dowództwem, do którego zostałem przydzielony jako major rezerwy. Jak Pan widzi, przyjechałem do domu, by zdjąć mundur i jako cywil powrócić zaraz do magistratu. Jeśli Warszawa zagrożona — moje miejsce jest tutaj. Zdaję sobie dobrze sprawę z tego, co mnie osobiście może czekać, jeśli Niemcy zajmą Warszawę. Ale to jest sprawa prywatna. Zostaję razem z mieszkańcami miasta. Będziemy się bronić". — Słowom tym brak jakiegokolwiek patosu. Wypowiedziane są z prostotą i męską siłą.

Rozmowa schodzi na tematy ogólne i osobiste, omawiamy ostatnie wydarzenia, wreszcie prezydent zapytuje, czy nie potrzebujemy jakiejś pomocy. Owszem. Potrzebny jest pneumatyczny świder dla wywiercania w asfalcie ulicy otworów na szyny żelazne do zapory przeciwczołgowej. Otrzymuję odpowiedni adres i upoważnienie do powołania się na prezydenta, który po krótkim pobycie w domu już po cywilnemu jedzie na Plac Teatralny.

Nazajutrz od rana świdry Dyrekcji Wodociągów Miejskich wierciły jezdnię ul. Szustra tuż przed domem Starzyńskiego, a pod wieczór wylot ulicy zjeżył się żelazem najbardziej regulaminowej zapory przeciwpancernej.

W toku obrony Warszawy wielokrotnie jeszcze widywałem się z prezydentem Starzyńskim. Najczęściej w jego domu, a mojej kwaterze bojowej. (Tak, bojowej, bo wchodziła ona bezpośrednio w linię naszej obrony, a wysunięta placówka mieściła się o 30 m. przed nią, w kamienicy po drugiej stronie Al. Niepodległości). Początkowo wpadał do domu późno w nocy, by przespawszy się kilka godzin wczesnym rankiem wracać do pracy. Wkrótce jednak i na to mu czasu nie wystarczało — nocował w biurze na jakiejś kanapce czy łóżku polowym.

Swoisty charakter miało wówczas to biuro. Wobec ustawicznego intensywnego bombardowania prezydent Starzyński polecił swym urzędnikom pracowanie w schronach lub pokojach bocznych oficyn, osłoniętych frontem Magistratu od pocisków artyleryjskich. Sam urzędował normalnie w swym gabinecie od ulicy.

Byłem tam na początku drugiej połowy września. Chodziło mi o wydobycie przy jego pomocy kilku r.k.m.-ów i amunicji, której nie mogłem dostać w skromnie zaopatrzonych, improwizowanych magazynach wojskowych. Broń i amunicję dostałem. Rzecz to charakterystyczna dla Stefana Starzyńskiego, który przy ogromie ciążących na nim zadań, potrafił zawsze znaleźć czas, by chętnie załatwić i sprawy, w skali ogólnej, drobne.

Pamiętam to spotkanie. Pędziliśmy do Magistratu Królewską. Po karoserii samochodu biły gęsto drobne odłamki z pocisków niemieckich — ostrzeliwano w tym czasie Ogród Saski. Wpadamy na opustoszały Plac Teatralny. Asfalt jezdni zryty bróździami pocisków artyleryjskich, w wielu miejscach kawałki cegieł i tynku z podziurawionych domów.

Wjeżdżamy na podwórze Magistratu. Pierwsze zdziwienie. Panuje tu ład i spokój. Ruch duży, ale bez śladu bałaganu i zdenerwowania. Pustymi schodami idę do prezydenta. Obok jego gabinetu w sekretariacie 2–3 osoby, reszta pokoi frontowych pusta.

Po chwili wita mnie serdecznie w swym gabinecie Stefan Starzyński. Panuje nad zmęczeniem, które jednak maluje się na twarzy, choć oczy patrzą mocno — widać w nich wolę i energię. Sforsowany głos brzmi ochryple — ten głos tak dobrze znany i tak co dnia wyczekiwany przed radio-odbiornikami.

Obszerny gabinet o wielkich oknach wychodzących na Pl. Teatralny. Na biurku niedopita szklanka herbaty i kawałek chleba. Podchodzimy do okna. Szyby drżą od huku pobliskich wybuchów.

— „Biją tu w nas ciągle — mówi prezydent — i zdaje im się, że nas tym przestraszą i zmogą. Nie znają nas jednak. Barbarzyńcy niszczą miasto i mordują ludność cywilną. Mogą ją zabijać, ale jej nie złamią".

Ktoś wchodzi z pilnym meldunkiem — trafione pociskami barki z cukrem zaczynają tonąć w porcie praskim. Prezydent wydaje natychmiast zarządzenia, wyznacza ludzi, samochody. Już jest ktoś następny z inną sprawą. Żegnam się. Schodzę na podwórze. Ostrzeliwanie wzmogło się. Wybuchy pocisków zlewają się w ciągły monotonny pogłos, chwilami nasilający się z nagła, gdy padnie gdzieś pocisk najcięższego kalibru...

Energia, żelazna wola i bojowość postawy — streszczają chyba najzwięźlej sylwetkę Stefana Starzyńskiego. Nie dowodził wojskową stroną obrony Warszawy, ale była ona jego niewątpliwym dziełem, a on jej symbolem. On natchnął w chaosie wrześniowym Warszawę duchem walki i oporu. Duch ten zagnieździł się w rumowiskach zbombardowanej Stolicy, w szkieletach wypalonych domów i ożywiał miasto w koszmarnych latach okupacji niemieckiej i bohaterskich dniach powstania.

Starzyński stał się dla oblężonej Warszawy najwyższym autorytetem. Pozycję tę zdobył sobie własną postawą. A zdobyć taką, powszechnie uznaną pozycję w milionowej, buńczucznej i niesfornej masie Warszawiaków nie jest rzeczą łatwą. Codziennie wieczorem czekano przy odbiornikach na jego głos. W prostych, niedobieranych i mocnych słowach wypowiadał opinię miasta wobec świata, Warszawiaków krzepił w wytrwaniu, piętnował ostro zbrodnie niemieckie i zapowiadał ostateczną klęskę wojenną Rzeszy.

A jednocześnie regulował szereg codziennych spraw miasta. Wzywał do otwierania sklepów, określał ilość posiłków w kawiarniach i restauracjach, ze względów sanitarnych nakazywał palenie śmieci w domach. I liczne sklepy otwierały swe drzwi, piekarnie podejmowały pracę, restauracje były czynne i bez kontroli przestrzegały określonych norm posiłków.

— „Stolica Polski walczy o honor, o przyszłość Narodu" — stwierdzał przez radio Stefan Starzyński. — „Jest to walka prawa przeciwko bezprawiu, walka cywilizacji przeciwko barbarzyństwu". — Domagał się wielokrotnie i energicznie od sojuszników przyrzekanej pomocy. — „Ruiny i zgliszcza Warszawy upoważniają mnie, abym w imieniu ludności zwrócił się z zapytaniem do rządów Anglii i Francji, kiedy odciążą Warszawę, kiedy udzielą jej pomocy" [w/g „Ekspressu Porannego" z dn. 18.IX. 1939].

Nie potrafiła go załamać agresja sowiecka mimo, że jasno już wówczas zdawał sobie sprawę z tego, iż dla Stolicy znikąd już nie ma ratunku. Wiadomo było, choć każdy tę myśl dusił głęboko w sobie, że nadejść musi kapitulacja. A mimo to Starzyński coraz ostrzej piętnuje zbrodnie hitlerowskie wobec całego świata, demaskuje kłamstwa propagandowe Hitlera. Czyni to w pełni świadomości, że osobiście będzie musiał Niemcom płacić za swoje słowa, za twardą obronę miasta.

Potrafił Starzyński wspaniale opanowywać swe nerwy i zachowywać tak niezbędny w tej sytuacji spokój. Postawą własną wpływał na nastrój Warszawy. W najcięższych chwilach nie tracił równowagi, a wynikające trudności potrafił rozwiązywać natychmiastową decyzją. To ustawiczne napięcie woli było udziałem Stefana Starzyńskiego w ciągu długich dni i nocy września. Musiał zapomnieć, że jest też zwykłym człowiekiem, bo musiał być ciągle prezydentem walczącej Stolicy.

Pamiętam jedną taką chwilę, kiedy prezydent Starzyński mógł być tylko Stefanem Starzyńskim, kiedy napiętych do ostateczności nerwów nie krępował pancerz obowiązku. Któregoś wieczoru w drugiej połowie września niespodziewanie przyjechał Starzyński do swego domu, czyli na naszą kwaterę bojową. Miał chwilę czasu na wzięcie jakiegoś ubrania i kilka minut wypoczynku i, oczywiście, rozmowę z nami. W rozmowie tej nastąpiła nagła przerwa. Do sąsiedniego pokoju wprowadził mi patrol osobnika podejrzanego o dywersanctwo.

Jegomość ów w nieokreślonym niebieskim mundurze, ni to hallerczyka ni to powstańca śląskiego, ustawicznie kręcił się po linii frontu na naszym odcinku i nie umiał się z tych ciągłych wędrówek wytłumaczyć. Zacząłem go przesłuchiwać. W tym momencie wszedł do pokoju Stefan Starzyński, pytając o co chodzi. Gdy dowiedział się, że przesłuchiwany podejrzany jest o dywersanctwo, błyskawicznie rzucił się na niego. Złapał go za bluzę munduru i gwałtownym ruchem rzucił na ścianę — „Ach ty, taki synu, dywersję uprawiasz, zdradzasz, draniu, swych walczących braci. Wiemy, co z takimi robić!" Słowom towarzyszyło mocne uderzenie pięści.

Krótka była ta chwila osobistego wybuchu. Stefan Starzyński znów stał się prezydentem Stolicy. Zaznaczając, że nie chce mi przeszkadzać w przesłuchiwaniu, wyszedł z pokoju. W godzinę później słuchałem jego głosu przy radioodbiorniku.

W południe 27 września umilkł nagle nieprzerwany odgłos wściekłej kanonady niemieckiej. Przestały nam się sypać na hełmy kawałki tynku, odłamki pocisków. My również otrzymaliśmy rozkaz zaprzestania ognia. Warszawa kapitulowała. Ale zdobyta nie została.

Późnym, ciemnym wieczorem jechałem tego dnia do prezydenta Starzyńskiego do Magistratu. Rumowiska gruzów zaścielały jezdnię. Gdzieniegdzie nieugaszone pożary oświetlały drogę. Wszędzie duszący, tak charakterystyczny zapach spalenizny. Gęsty mrok placu Małachowskiego w jednym tylko punkcie rozjaśniał niewielki płomień. To dopalały się resztki oddrzwi Zboru Ewangelickiego. Plac Teatralny tonął w ciemnościach.

Na podwórzu Magistratu z rzadka pełgają światełka świec lub krótko błyśnie latarka elektryczna. Ciemne schody doprowadzają mnie do jakiegoś małego pokoiku w oficynie (pokoje frontowe zniszczone zostały wybuchami pocisków). Na stoliku 2–3 świece i plik papierów; nad nimi pochylony Stefan Starzyński.

Krótkiemu powitaniu nie towarzyszą zbędne słowa. Prezydent mówi, dlaczego dalsza walka była niemożliwa i pokazuje mi tekst warunków kapitulacji. Z całą ostrością rzuca się w oczy wyraźnie określona linią Wisły granica nowego zaboru. Lewy brzeg zostaje niemiecki, prawy przechodzi pod władzę sowiecką. Praga będzie sowiecka, Warszawa niemiecka.*)

I znów słyszę z ust Stefana Starzyńskiego gorące słowa uznania i podziwu dla bohaterstwa żołnierza i ludności Stolicy. Mówi z jak ciężkim sercem, mimo krwawych ofiar, ludzie przyjmowali wiadomość o kapitulacji. Pytam prezydenta o zamiary, wskazując na jego osobiste zagrożenie.

— „Wiem, co Pan ma na myśli. Proponowano mi zupełnie pewną drogę na Litwę. Ale ja zostaję wraz z ludnością Warszawy. Nie wolno mi teraz opuszczać tych ludzi, od których żądałem ofiarnej walki" — odpowiedział. — „Podejmuję natychmiast działalność, jako prezydent miasta i dopóki tylko będę mógł — będę ją pełnił. Zarząd miasta ma przed sobą ciężkie zadania i musi je niezwłocznie podjąć".

W sąsiednim pokoju czeka już kilku urzędników Magistratu na odprawę. Jeszcze kilka słów na tematy osobiste i po raz ostatni wymieniamy uścisk dłoni. Wchodzą urzędnicy. Stefan Starzyński zaczyna urzędować jako prezydent okupowanej lecz niezdobytej Stolicy.

Widziałem go wówczas po raz ostatni. Gdy po ucieczce z kilkudniowej niewoli niemieckiej wróciłem do Warszawy już nie mogłem się z nim widzieć. Śledziliśmy — cała Warszawa — z niepokojem jego los, obawiając się ciągle najgorszego. Aż gruchnęła wieść: „Starzyński aresztowany". A wkrótce potem druga: „Starzyński wywieziony — nie wiadomo dokąd". Troską nabrzmiałe, powszechne i ustawiczne pytanie Warszawy „Co ze Starzyńskim?" nie znajdowało konkretnej odpowiedzi w fali sprzecznych pogłosek. Dziś już fakt jego śmierci z rąk niemieckich nie zdaje się ulegać wątpliwości.

W dniu 1 września 1943 r. na narożnikach Pl. Bankowego pojawiły się tabliczki z napisem „Plac Starzyńskiego". Podziemna Warszawa dawała w ten sposób dowód swej pamięci o Prezydencie Walczącej Stolicy. W dniu 1 września 1944 w toku walk Powstańczych organ A.K. „Biuletyn Informacyjny" zamieścił artykuł p.t. „Starzyński" zakończony słowami: „Dziś Prezydenta Starzyńskiego nie ma wśród nas. Lecz słowa Jego pozostały tu w murach miasta, by nas w walce krzepić, by nas do wytrwałości zachęcać".

W historii narodu i w sercach Warszawy imię Stefana Starzyńskiego pozostanie na zawsze niezapomniane.

*) Jak wiadomo wkrótce potem pakt Ribbentrop-Mołotow przesunął dalej na wschód granicę t.zw. linii interesów sowiecko-niemieckich.

TEZAW

Gawędy o W. Brytanii

Zasadnicze cechy „rasy" angielskiej

Musimy sobie zdać sprawę, że Europa sądzi przeważnie typ angielski na podstawie Anglików oglądanych na kontynencie. Jest to zwykle Anglik o pewnym dochodzie i obyciu; przeważnie kołyski tych Anglików czy Angielek, by użyć wyrażenia von Stutterheima, stały w *country* albo w tzw. dobrych dzielnicach Londynu (do tych należy Mayfair, cały West End, a zatem dzielnice określane skrótem W. — *West* (zachód) — dalej Kensington, Bayswater, Chelsea, częściowo Hampstead). Na podstawie obserwacji kontynentalnych przeciętny Anglik jest chudy i wysoki, ma często tzw. końskie zęby, ubiera się niedbale, pali fajkę, mówi źle obcymi językami, o ile w ogóle się na nie wysila. Angielka dla mieszkańców kontynentu to albo zdrowa dziewczyna, wysportowana, o długich nogach i pogodnej twarzy, jasnych oczach i cerze, jak „krew z mlekiem" — albo wyschła pannica, która ugania kilometrami na spacery, szydełkuje i gorszy się wszystkim po trosze.

Tego rodzaju typy spotkamy oczywiście i w samej Anglii. Przeciętnie wzrost ludzki w Anglii jest chyba wyższy, aniżeli na kontynencie — szczególnie jeżeli chodzi o kraje takie, jak Francja, Włochy, Polska — i to zarówno wśród mężczyzn, jak kobiet. Można by zaryzykować twierdzenie, że i tusza jest w tym kraju o wiele rzadsza, aniżeli w Europie. Nie widuje się tutaj ludzi otyłych w tej ilości co w Niemczech, Szwajcarii, Polsce; jest to wynikiem w dużej mierze odżywiania, albowiem w Anglii je się niewiele.

Dla Polaka stosunek Anglika do jedzenia jest ustawiczną zagadką. Poza śniadaniem, *breakfast*, które w czasach normalnych było obfite — *porridge*, *bacon and eggs*, herbata z mlekiem, *toast*, *jam* i td. — posiłki angielskie są o wiele skromniejsze od przeciętnych europejskich. W południe miliony ludzi w Anglii zjadają byle co, zwykle jakieś *sandwiches*, albo inny *snack*; wieczorny posiłek jest obfitszy, ale również ani w części tak bogaty, jak kolacja kontynentalna.

Okazuje się jednak, że Anglicy, którzy unikają otyłości i są zasadniczo „chudzi" w porównaniu z ludźmi kontynentu — zachowują lepsze zdrowie od bardziej dbających o rozkosze kuchni Europejczyków. W tym kraju jest chorób wątroby i nerek mniej, aniżeli w Europie; aktywność ludzka jest o wiele lepiej zachowana w późne lata, co jednak jest nie tylko wynikiem zachowania szczupłej linii do późnego wieku, ale również o wiele lepszej gospodarki nerwów: nerwy się tu szanuje na poważne okazje i przeprawy, tempo życia jest w tym kraju wolniejsze, harmonia między pracą a odpoczynkiem lepiej zachowana.

To sprawia, że w Anglii spotykamy ludzi, którzy w 60-ym roku życia wykazują pełną sprawność fizyczną, uprawiają sporty, chodzą na wycieczki, wiosłują, grają w tennisa, jeżdżą na łyżwach; co więcej, ludzie ci wykazują dużą sprawność umysłową. Podczas gdy na kontynencie — a szczególnie w krajach o niskim poziomie życia, nerwowym sposobie życia, w krajach, gdzie młodość schodzi na walce o byt — oglądamy zjawisko wczesnego starzenia się umysłowego i myślowego ramolenia, w W. Brytanii mamy liczne przykłady ogromnej aktywności mózgowej ludzi, którzy u nas uważani byliby za zdecydowanych emerytów. Jeżeli weźmiemy przeciętny wiek n.p. pisarzy i polityków angielskich i zestawimy to z wiekiem naszych autorów i polityków, to przekonamy się rychło, że owi *grand old men* piśmiennictwa i polityki są w tym kraju i niebywale liczni i nie przynoszą ujmy swojemu wiekowi.

To właśnie wydaje się stanowić główne cechy fizyczne i duchowe „rasy" angielskiej. Było by jednak błędem przypuszczać, że cechy te są całkowicie upowszechnione: spotkać można w Anglii zarówno owe hoże, wspaniale wyrośnięte dziecięta ze wsi, o twarzach pogodnych, zdrowych, nieobciążonych raczej myśleniem, jak i bardzo subtelne twarze — i to właśnie wśród tzw. niższych warstw — i nie tak wysoki wzrost; obok długonogich mężczyzn o twarzach typu „skandynawskiego", mamy typ drobny raczej, o dużej szybkości a nawet nerwowości ruchów. Mamy także ową *old spinster* (stara panna), nieznużoną turystkę, która cwałuje kilometrami po obcych i swoich miastach, ubiera się fatalnie i jest naprawdę samodzielna — bo nie potrzebuje tła mężczyzny.

Cech „rasy" angielskiej nie da się jednak ująć w formułki wzrostu, tuszy, długowieczności, złych i dobrych zębów. Sięga to znacznie głębiej: całego duchowego klimatu tej rasy, tego co badacz holenderski Dr. Renier nazwał słusznie „*ritualism*" a więc obrzędowością, trzymaniem się pewnych formułek i ujęć (zwrotu tego używa również G. B. Shaw w wstępie do swoich „*Plays for the Puritans*"). Są to cechy zachowania, obyczajów, maniery — wyżłobione tradycją, wychowaniem, religią.

Wydaje się, że w tym względzie Anglik nie jest tworem bardzo starym. Jeżeli bowiem wglądniemy w erę królowej Elżbiety, jeżeli nawet powierzchownie zapoznamy się ze światem Shakespeare'a, to przekonamy się, że typ Anglika w tym okresie był inny, bardziej żywiołowy, pełen rozmachu, namiętności. Jeżeli uprzytomnimy sobie postać jedną z najbardziej popularnych w dziejach Anglii, a więc jowialnego Dr. Johnsona, którego rozkoszny „*Żywot*" pozostawił nam jego wielbiciel i uczeń Boswell, to przekonamy się, że nie odpowiada on we wszystkim zasadom dzisiaj wyznawanym. Sam typ Johna Bulla — uosobienie Anglii tak, jak Marianne jest symbolem Francji — jest krwisty, raczej rubaszny, niemal „sarmacki". Nie zgadza się on jakoś z typem stworzonym przez purytański obraz Anglii.

I tak jest w istocie. Typ duchowy Anglika — urobiony przez wychowanie, religję, tradycję, nawyki — został poważnie zmieniony naciskiem purytanizmu, ideami wychowania wytworzonymi w wieku XIX-ym dopiero przez szkoły typu Rugby czy Eton. Dokonano olbrzymiej operacji na dawnym Angliku doby elżbietańskiej, restauracji monarchii, Dr. Johnsona, doby XVIII-ego, wcale wesołego wieku. Jeszcze w doskonałych powieściach M. Sadleira (jak „*Fanny by Gaslight*") oglądamy Londyn schyłku XIX-go wieku nieco inny, aniżeli ten, z którym dzisiaj obcujemy.

Purytanizm, pruderia, Biblia, surowość wniesiona przez erę wiktoriańską, cały „*cant*" tej doby, cała *respectability* tej ery olbrzymiego rozwoju przemysłu i przewagi mieszczaństwa, cała dulszczyzna tej epoki, jakbyśmy powiedzieli — Anglicy mają na to swoją patronkę: *Mrs. Grundy*, która dokładnie odpowiada pani Dulskiej — wywarły olbrzymi wpływ na typ duchowy Anglika, na jego maniery, zachowanie się.

To właśnie sprawia, że Anglik przedstawia pewien zespół cech fizycznych i psychicznych, które są niejako niezawodne: poznajemy Anglika prawie nieomylnie na kontynencie nie tylko po jego wzroście, cechach twarzy, tuszy, ale przede wszystkim po tych nieuwychwytnych cechach duchowych: sposobie bycia, zachowamia, „flegmie", opanowaniu, pewności siebie, która nieraz maskuje jego nieśmiałość, pewnym rytuale i obrzędowości, która sprawia, iż typ angielski odróżnia się tak ostro od innych narodów i ras Europy. Ale nie jest to działanie typu fizycznego: pamiętajmy, że dopiero zestrojenie cech fizycznych i duchowych, tworzy z Anglika pewną osobliwą całość, która wyodrębnia go wśród ras Europy. Nie zawsze potrafimy określić na czym ta odrębność polega, ale wiemy dobrze, że jest to rasa inna, odrębna, na całkowicie innych zbudowana podstawach.

JAWNUTA

NA POLAKÓW W NIEMCZECH

Zamiast życzeń w dniu imienin p. Hanki C., przebywającej w Polsce składam £.2. (dwa funty) na rzecz pomocy dzieciom polskim w Niemczech.

JÓZEF CYBULSKI, por.

NA PACZCE OD MYDŁA...

Obywatelki i Obywatele! Zgniła emigracjo i szczera demokracjo! Przyjaciele i wrogowie ludu! Faszyści i czerwonoskórcy!

Byłem w Paryżu. Tak jest! Tam, gdzie się zaczęła wojna o pokój. *Zaprosili mnie razem z moją paczką od mydła, jako demokratycznego obserwatora — bez głosu. Praktycznie właściwie nie tylko ja byłem bez głosu. Wszystkie narody, prócz narodów Związku Radzieckiego — były w podobnej sytuacji. Nawet Evatt, choć był często przy głosie — praktycznie był bez głosu.*

Na mój udział wyrażono zgodę zwyczajną mniejszością głosów, przy czym przeciw mnie głosowała delegacja sowiecka to znaczy: trzy czwarte Europy. *Zagapiony Rzymowski, trącony w bok przez uważnego Winiewicza, i kopnięty w nogę przez bystrego Modzelewskiego, założył demokratyczny protest przeciw obecności Obywatela Żądełki z faszystowską paczką od mydła — bez głosu. Protest Rzymowskiego poparły z kolei wszystkie narody słowiańskie, kopnięte kolejno przez czołowych delegatów, dla których wystarczającym hasłem było... przetarcie binokli przez Mołotowa.*

Następnie doszło do burzliwej wymiany zdań na temat paczek i na temat mydła. W dyskusji zabierali głos kolejno: Gasperi, nawiązując zgrabnie od mydła do winogron, od winogron do Triestu; Byrnes poparł wniosek Gasperiego, po czym Byrnesa zaatakował Wyszyński, którego poparł Manuilski; Manuilskiego poparł Kisielew, Kisielewa Mołotow, a Mołotowa Wyszyński nawiązując zgrabnie od Żądełki do miodu, od miodu do Ukrainy, od Ukrainy do kolonii włoskich. Rzymowski, ponownie kopnięty przez Winiewicza, na którego mrugnął Modzelewski, idąc za świetnymi wzorami dyplomatycznymi mistrza Langego, zaproponował w tym miejscu przerwę na śniadanie.

Przerwę uchwalono większością trzech czwartych głosów przy 6 wstrzymujących się od śniadania. Przeciw śniadaniu głosowały: Rosja, Czechosłowacja, Jugosławia, Białoruś, Ukraina, Litwa i Łotwa. „Polska" (to znaczy Modzelewski, Rzymowski, Winiewicz) — po groźnym mrugnięciu Mołotowa — zapomniała o własnym wniosku w sprawie śniadania i głosowała przeciw wnioskowi.

Powiadam wam, moi mili demokraci, że konferencja pokojowa, to rzecz niełatwa, szczególnie, gdy wybucha niespodziewanie, prawie równocześnie z racjonowaniem chleba w Wielkiej Brytanii i bombą w Jerozolimie.

Na konferencji dużo się mówi o pokoju... wiecznym. *A właściwie można śmiało powiedzieć, że Europie już przed konferencją zapewniono...* wieczne odpoczywanie. *Nawet „natchnienie narodów" ledwie dyszy.*

Sprawiedliwie jednak muszę przyznać, że Rosja idzie chętnie na wszelkie ustępstwa t. zn.: gdy ktoś jej ustąpi — akceptuje.

Nasłuchałem się na tym śniadaniu plotek pokojowych, przedpokojowych i przedwojennych, to znaczy plotek na temat: czy jesteśmy przed wojną czy po wojnie. Pewien wybitny Brytyjczyk powiedział mi, że winna jest Ameryka, pewien wybitny Amerykanin, że winien jest nieboszczyk Roosevelt, pewien wybitny Włoch, że Niemcy, pewien wybitny Chińczyk, że Włochy, pewien wybitny Francuz, że Brytania. Wobec tego zwróciłem się ponownie do wybitnego Brytyjczyka, który zaczął od tego, że winna jest Ameryka. Jest tylko jeden kraj niewinny: Rosja. Winni są Żydzi, Egipcjanie, Arabowie, Persowie i Andersowcy.

Strejk w perskim przemyśle naftowym, bomba w Jerozolimie, awantury w Palestynie, krążownik brytyjski w Zatoce Perskiej—pytam się, co to ma wspólnego z Rosją? Nic. Dlatego, moi mili demokraci, o Rosji w Paryżu się nie mówi. Dlatego jowialna, łagodna twarz Mołotowa, dlatego szlachetne, pociągające oblicze Wyszyńskiego — budzą dokoła uśmiech, pewność i zaufanie. Sieją spokój na tej konferencji, zakłócanej przez znanego ozonowca australijskiego Evatta.

Po śniadaniu Winiewicz, kopnięty przez Modzelewskiego i „mrugnięty" przez Rzymowskiego, po przetarciu binokli przez Mołotowa, zażądał na deser — Dardaneli dla Rosji Sowieckiej. Wtedy Turcja mrugnęła na Bevina i zaproponowała przejście na czarną kawę po turecku do salonu. Styl salonu: późny Empire-zagrożony. Wniosek Turcji upadł większością trzech czwartych głosów przy kilku wstrzymujących się całą siłą woli od nagadania głupstw. Dyskusja w sprawie Cieśnin rozszerzyła się znacznie, po czym szerokość Cieśnin ścieśniła się jeszcze więcej.

Dopiero po tej konferencji paryskiej zrozumiałem, moi mili demokraci, większością trzech czwartych moich zmysłów, że nigdzie politycy całego świata nie rozmawiają dzisiaj tak swobodnie, jak my to czynimy każdego tygodnia tutaj w Hyde Parku londyńskim zebrani wokół paczki od mydła.

Bo my, gdy mówimy tutaj: mydło, to znaczy mydło, a nie miód. Gdy mówimy: lipa, to znaczy lipa, a nie laur wawrzynu. A tam — rozmaicie bywa. Słownictwo dyplomatyczne dzisiejszej doby wymaga specjalnych studiów. Oto próbki wyjęte z tego słownika:

myśli się: kłamstwo — *mówi się:* nierealne ujęcie rzeczywistości.

myśli się: kradzież — *mówi się:* pretensja terytorialna,

myśli się: oszustwo — *mówi się:* wykorzystanie dobrej woli,

myśli się: bezczelność — *mówi się:* niesłuszna interwencja,

myśli się: rabunek — *mówi się:* przedwczesna rewindykacja,

myśli się: zbrodnia — *mówi się:* incydent godny pożałowania.

Dlatego nie denerwujcie się tą konferencją pokojową, moi mili demokraci, zastosujcie do jej odszyfrowania jej własne słownictwo. Nazywa się pokojowa, a jest bardzo wojenna. Ma mówić o zgodzie, a mówi o kłótniach. Ma ustalać granice, a ogranicza ustalenia. Ma wykluczyć wojnę, a wyklucza pokój. I w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu...

Gołąbek pokoju ukazał się nad głowami, ale zamiast gałązki oliwnej, dźwiga w dziobie atomowy pyłek. Gdzie wypuści? Byle z daleka od mojej paczki, gdyż szkoda tej jedynej trybuny szczerego słowa prawdziwej demokracji. Gdy ten głos z Hyde Parku zamilknie — świat będzie zgubiony!

A zatem do usłyszenia za tydzień na tej paczce, o tej samej porze.

Wasz

OBYWATEL ŻĄDEŁKO

SPIS RZECZY

WYDAJE „FIGHTING POLAND" TRUST

Adres Redakcji (Editorial Offices): 52 Halton House, 20-23 Holborn, London, E.C.1. Tel. CHAncery 7747.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: (z przesyłką pocztową) w Wielkiej Brytanii miesięcznie 1sh. 6d., kwartalnie 4 sh. 6d., w U.S.A. i Kanadzie miesięcznie 35 c., kwartalnie $1.00 c.

Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na „FIGHTING POLAND TRUST" pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — £1 ($5). Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia na pierwszej stronie w miarę wolnego miejsca o 100% drożej. Ogłoszenia drobne 6d. za słowo

Poszukiwania osób rodzin wojskowych bezpłatnie w miarę wolnego miejsca.

Adres Administracji (Business Offices): 69, Earl's Court Square, London, S.W.5. Tel.: FLAxman 8600.

Printed for „Polska Walcząca" by Williams, Lea & Co., Ltd., Clifton House Worship Street, London, E.C.2. Registered at the G.P.O. as a Newspaper